

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

## POCAŁUNEK SŁOŃCA.

B a ś Ń

przez S. Sotworowską.



Przeszedłeś jedną górę, przeszedłeś drugą i trzecią, przepłynąłeś jedno morze, i drugie i trzecie, przejechałeś jeden las i drugi i trzeci, a wciąż byłeś w wielkim państwie Potęgosaława. I góry, i lasy, i morza i niezliczone pola i łąki, wszystko głosi cześć, wszystko schyla się w pokorze przed wielkim królem. Panuje już lat 100, starość pochyla barczystą jego postać, siwizną przypruszyła czarne włosy i każe już myśleć o godnym następcy. Codziennie we wszystkich świątyniach odbywają się uroczyste nabożeństwa, by Słońce natchnęło króla w tej ważnej chwili złożenia berła w inne ręce, złożenia korony na inną głowę. Modli się Potęgosaław, modli się cały naród i w skupieniu ducha rozmyśla nad przyszłym wyborem, którego z synów zaszczyścić tronem pradiada? czy najstarszego Słońceochwałę? czy Światłomiłę, czy też najmłodszego Orlika? Król niepewny i trwożny rozkazuje zwołać czarnoksiężników z całego państwa. Jutro wspólna narada, jutro więc rozstrzygnie się los młodych królewiczów.

\* \* \*

Na zamku uczta, wino płynie strumieniami. Król poważny, królewicze zadumani myślą o ważnej dla siebie chwili. Po uczcie, stary czarodziej, przyjaciel Potęgosaławy, pyta królewiczów:

— Dzieci, którego wybrać na króla? któryż z was czuje w sobie siłę, by godnie nosił koronę ojca i dziada?

Powstaje najstarszy i mówi z dumą:

— Czuje siłę i chciałbym panować, ale niechaj się stanie wola ojca i czarnoksiężników.

Po nim odzywa się Światłomił:

— Wierzę, że Słońce napełni mądrością czcigodnego ojca naszego, gdyby więc kazano mi się usunąć, uczynię to szemrania i z wiarą, że stojąc tak blisko tronu, również będę mógł zdziałać dużo dobrego dla naszego kraju.

— A ty, Orliku? — pyta Potęgosaław najmłodszego, wątłego chłopca o twarzy bladej i dużych, rozmarzonych oczach.

— Czcigodny ojcze! gdzież mnie równać się z nimi — i wskazał na stojących obok niego braci.



— Ty Orliku, duszę masz piękną...

Orlik przerywa, pada na kolana i wznosząc ręce mówi błagalnie:

— Wysłuchajcie prośby.

— Mów — odzywają się wszyscy.

— Wszak powiedziałeś ojcie, że mam duszę piękną.

— Tak synu.

Orlik zwraca się do jednego z czarnoksiężników.

— A ty nauczycielu, powiedz, czy korzystałem z twoich nauk?

— Tyś najlepszym uczniem moim, mądrością twoją chlubi się stary nauczyciel.

Orlik powstaje i wodzi dokoła oczami, w których błyszcza ogień natchnienia i zapалу.

— Ja chcę oddać przymioty duszy i przymioty umysłu wybranemu przez was na króla... gdy wybieriecie następcę po czeigodnym ojcu naszym, to zaprowadźcie mnie do świątyni Słońca, niechaj lud zaśpiewa hymn, niech kapłani przywdzieją szaty godowe i... poświęćcie mnie Słońcu, a krwią moją namażcie czoło i serce wybranego.

Po przemówieniu Orlika nastała uroczysta cisza... Wzruszenie i rzewność napełniły salę... niepozorny chłopiec urosł w oczach wszystkich na bohatera! Pierwszy Światłomil przerwał ciszę wykrzykiem:

— Niechaj Orlik nam panuje, a gwiazda szczęścia zaświeci jasnym blaskiem, Słońce błogosławić nam będzie.

Słońcechował milczy, patrzy ponuro w ziemię. od czasu do czasu rzuca gniewne spojrzenie to na Orlika, to na Światłomila.

Wstaje Potęgossław i woła na najmłodszego swego chłopca:

— Orliku, synu mój! i całuje jasną głowę syna, i łzami ją oblewa i z dumą patrzy w rozmarzone oczy chłopca — Nie synu, nie Orliku, ja cię nie dam na ofiarę.

Oprócz najstarszego Słońcechowała, który wciąż stoi zimny i nieporuszony, obecni lzy mają w oczach.

Król dał znak i odchodzą wszyscy, oprócz kilku starszych czarnoksiężników. Długo toczą się między nimi a królem ważne obrady. Wielu chce się zgodzić na ofiarę Orlika.

— Ustąp królu — wołają — niechaj miłość dla kraju świeci w twoim sercu najjaśniejszym blaskiem, nie stawiaj na pierwszym miejscu miłości dla syna

— A Orlik czyż panować nie może?

— A hufce na wojnę któż prowadzić będzie? Król w twoim państwie winien mieć moc i siłę.

Spuszcza Potęgossław głowę na piersi, дума, wznosi się myślą ku Słońcu i błaga o mądrość.

— Królu! na jednej szali szczęście narodu, na drugiej życie jednej istoty...

— Ale ta istota, to krew z krwi mojej, to syn mój ukochany.

Nastaje cisza, przerywana tylko niekiedy bolesnym westchnieniem Potęgossława.

— Powiedzcie mi, ile lat życia pozostaje mi jeszcze do przebycia na ziemi? — zapytał władca po długiej modlitwie.

— Tej tajemnicy wyjawić nam nie wolno.

— Uczynicie wyjątek. Słońce przebaczy, wystawię mu świątynię o złotych ścianach.

Między czarnoksiężnikami toczy się żywa narada.

— Trzy lata — odzywa się nagle uroczysty głos jednego ze starszych.

— Trzy lata? dobrze! Woła jest więc moja, by królewicze poszli w świat szeroki i po dwóch latach wrócili, a który z nich przyniesie dar najcenniejszy dla kraju, ten po mnie panować będzie. Czy zgoda?

— Zgoda! — rozlega się zewsząd, a wnet potem uderza o uszy królewskie straszne pytanie.

— A jeśli dar przyniesie jeden ze starszych, czy pozwolisz wtedy na ofiarę Orlika?

— Czy pozwolę! O Słońce! czy ja pozwolę?

I znowu zapanowała cisza, Przez okno wpadł złoty promień słońca i spoczął na siwych włosach starca. Potęgossław zadrżał, uśmiechnął się i jakby obudzony ze snu ciężkiego, powstał nagle i zawołał:

— Pozwolę.

— Niechaj żyje Potęgossław! — zagrzmiąły okrzyki.

Król nie słyszy tych objawów uniesienia i pochwały, on myśli przy Słońcu.

— Pozwolę — szepcze z cicha — pozwolę, ale ty Słońce wynagrodzisz jego chęć szlachetną i jemu dasz w ręce dar najcenniejszy.

\* \* \*

Blisko królewskiego zamku znajduje się góra, a na niej grób najpotężniejszego z monarchów, jacy panowali w państwie Potęgossława. Na kolumnach szczerozłotych wznosi się cudnej roboty wieżyczka, cała wysadzona kamieniami i błyszcząca pośrodku jaśniejącym słońcem. Co rok w rocznicę śmierci wielkiego króla, przychodzi posłannik z nieba i dotyka czarodziejską laseczką brylantowego słońca i lśni wtedy to sztuczne słońce, jak prawdziwe, i nikt wzroku zatrzymać na niem nie może, prócz panującego i starszych czarnoksiężników. Czem wsławił się ten, którego prochy spoczywają w tym grobowcu? czem zasłużył na zaszczyt, że posłannik słońca zapala nad nim promienie słoneczne? Bo ukochał światło i naród miłością serdeczną, bo był wielkim, bo zwiedził krainy słoneczne i od Słońca otrzymał pocałunek, a kto szczęścia takiego dostąpi, ten wielki nad wielkimi, dla tego niema tajemnic na ziemi, ten czyta w sercach ludzkich, jak w otwartej księżce.

Dzisiaj rocznica śmierci sławnego monarchy. Muzyka gra od samego rana, pieśni rozbrzmiewają po całym państwie... modlitwy kapłanów drżą natchnieniem i słychać echo het! het!... daleko i wysoko. A słońce na niebie świeci uroczyście, a słońce nad grobowcem pali się, i migoce, i drga płomieniami złota, srebra i barw tęczyowych.

\* \* \*

Cisza... listek nie d gnie i nie zamąci spokoju... tyśięczny lud zgromadzony przed balkonem królewskim, oczekuje przejęty i ciekawy. Nagle uderzył dzwon, zakłósały się tłumy, szmer obiegił dokoła. „Już.. już..”

Pod baldachimem purpurowym, na balkonie przybranym w kwiaty, wstęgi i flagi, stanął Potęgossław. Skinął ręką. Jakby z piersi jednej zagrzmiął okrzyk potężny: „Niech żyje!” Skinął król ręką powtórnie i nastała cisza. Cisza.. listek nawet nie drgnie i nie zamąci spokoju.

— Woła jest naszą i woła czarnoksiężników, by królewicze na dwa lata poszli w świat szeroki po dary dla do-



a kraju, a który z nich przyniesie dar najcenniejszy, temu zeznaczymy koronę i berło.

— Niech żyją! Niech żyją! — odzywa się potężny łos ludu, ten odbija się o dązwa lasu i płynie dalej i odbija się o góry i rozwiewa się w powietrzu i ginie daleko...

\* \* \*

(d. c. n.)

Zofia Urbanowska.

## RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— A kwiaty? — zapytał Henryk, oczarowany tym obrazem.

— Jednostajnej zieleni zwartych gąszczy nie bramały żadne pstre kwiaty; w odurzających oparzeliskach nie kołysały się Nenufary. Nie było ani złotych Aurykuli, ani szafirowych kielichów Goryczek, ani białych rozet ostów jesiennych, nie!

— Ale pan wymieniał drzewa rosnąć mogące tylko w gorącym klimacie — zrobił uwagę Walter.

— Bo klimat Tatr był wówczas gorący, jak zresztą niemal na całej kuli ziemskiej — odparł Jakób. — Ogrzewało ją ciepło wewnętrzne od spodu, bo skorupa wierzchnia była jeszcze stosunkowo cienka i stopniowo dopiero, z upływem wieków, coraz grubszą pokrywała się warstwą ziemi rodzajnej, powstałej z wietrzenia skał, z odnawiającej się ciągle roślinności, coraz nowym pokrywającej ją kobiercem.

— Dziwny więc widok przedstawiały te czasy — powiedział Warburton.

— O tak, bardzo dziwny. Wyobraźmy sobie sylwetki skarłowaciałych dziś Skrzypów rozdęte do potwornych rozmiarów, na tle dzikiej orgii barw i łun, odbłasków niedalekich wulkanów Pratatr, w okolicy górnego Wagu ogniem ziejących. Była to epoka trzęsień i wybuchów gwałtownych lawy, a kłęby dymów wulkanicznych ziemię zaciemniały, lub tarczę słońca czyniły trawiastą niby grynszpan, lub błękitną i okalały ją obrączką ciawą lub zieloną, tworząc tony piekielne, albo łuny krwawych języków, co w dzikich pomrokach gąszczy i puszczech się mieniać, tworzyły świat z bajki. I było ponuro wtedy, gdy na tle orgii burw, potwornych rozmiarów Ważki, których skrzydła miały po 70 centymetrów długości, głucho po powietrzu latały, sterując niby olbrzymie nietoperze, a płazy moczarowe odgłosem wtórowały głuchemu, ponuremu szelestowi trących o siebie i przesiąkniętych krzemionką liści skrzypów.

— A świat ptasi? a błyszczące motyle i chrząszcze? — pytał Henryk.

— Nie istniały: lasy pełne były dziwnej fauny. W mrocznych, parnych gąszczach, po śliskiej ziemi pełzały Stonogi i kryły się pod kamieniami lub w próchniejącym drzewie przed Archeogosaurem i Branchiossaurem, którego kijankami o trójkątnych głowach, roili się ówczesne moczarowe wody. Bez liku było olbrzymich Skorpionów krwi chciwych, bez liku pajaków polujących na srebrne jętki i ważki, których chmury nad parzeliskami zygzakowały się uwijały, mieniać się przepysznie w powietrzu i siadając na skrzypach nadwodnych i pastorałach paprociowych. Chrząszcze dziurawiły drewno Kalamitów, ślimaki w butwiejących pniach dumały, a szarańczaki, te najstarsze owady w świecie, wieczorem za żerem bujały, jak to dziś

potomkowie ich czynią, wieczorem wylaząc z dziupli i szczelin.

I w morzu opasującym ten dziwny ląd, pełniło się życie pełne gwaru i walki o byt: ryby, raki, mięczaki morskie.

— Czy wszystko w tej bajce jest prawdziwe? — zapytał Henryk.

— Nie wiem: może część, a może i wszystko. Jedno tylko jest prawdą niechybną — że rzeźba Tatr piętrzyła się w tym samym miejscu, gdzie teraz; że trwały długie wieki, aż przyszła chwila zgładzenia ich do szczętu.

— Jakto! — zawołali chórem wszyscy, prócz profesora — Tatry przestały istnieć?

— Tak. Fale morza jeły się przewalać ku południowi i sięgały prądatrowego trzonu granitowego. Nastąpiła walka na śmierć i życie obu żywiołów: ląd uległ tłoczącej go fali. Tatry zanurzały się pod wodę bezwiednie, kierowane temi samymi siłami, które zanurzają bogate równiny Holandyi i brzegi Bałtyku, a wynurzają Skandynawię z wody; temi samymi które topią Pomorze i Wenecję i budzą ciche legendy o zatopionych miastach, bogatych, strojnych i zepsutych.

— Jakież mogły być przyczyny tych zmian tak nadzwyczajnych, panie?

— Przyczyny te nieznane nam są dokładnie, a kto wie czy nie spowodowywane były przez zmianę położenia osi ziemskiej — dodał Strand.

— Woda stała się narzędziem zguby — mówił Jakób dalej: — rozpoczęło się bezlitosne heblowanie i ścieranie. Woda była olbrzymim, po widnokreśli sięgającym nożem, którego powierzchnią było stalowo sine morze, a ostrzem, pianą zabkowana nadbrzeżna linia. Klinga ta straszliwa a potężna, niby tajemniczemu fatum posłuszna, wciskała się coraz bardziej, coraz głębiej w Pratatr, ścieląc za sobą na wygładzonej równinie, piasek, żwir i gruz. Jak Atlantyk liże skaliste brzegi Bretanii, a Adryatyk liguryjskie ściany, lub brzegi Sorrento, tak Tatry lizała fala.

— A więc potop.

— Tak. Potop zgładził Tatry, a morze chwilowo syte, zaległo widnokrąg na długie szeregi niezliczonych milionów lat.

— Ten pański przyjaciel, to poeta — odezwał się Warburton, gdy Jakób umilkł. — Obrazy maluje z siłą Dantejską. Nie jest to zwykła baśń, ale tragedia w wielkim stylu!

— Czy już skończona? — zapytał Walter.

— Ależ nie! — zawołał Warburton. — Zgładziłeś pan Tatry, musisz je wznieść na nowo.

— Skończyłem pierwszą część — powiedział Jakób.

— To dobrze: zapal pan nowe cygaro i rozpocznij budowanie.

— Słuchamy — rzekł malarz, rysując w notatniku.

— Wieki trwały i Tatry powstały z prochu Pratatr przez potop zgładzonych. Długo morze kołowało się nad zalany ląd, składając na dnie potężnych rozmiarów osady. Najprzód były to wyspy bez śladu skał, porośłe zwrotnikową roślinnością, podobną do tej jaka została potopem zniszczona. Aż dnia jednego, siły wnętrza ziemi, górotwórcze moce, wypiętrzać zaczęły osady złożone na dnie.

— Wiele byłoby o tem mówić — mruknął Strand. — Utrzymywano dotąd, że góry wypchnięte zostały z wnętrza ziemi siłą wulkanów, a teraz są tacy co to podają w wątpliwość i utrzymują, że góry są wynikiem kurczenia się powierzchni ziemi, na podobieństwo skórki na wysychającym jabłku. I czy panowie myślicie, że ja wierzę tej hipotezie, mającej wszelkie pozory prawdopodobieństwa?

Wzruszył ramionami.

— Teorie naukowe podlegają niestety modzie, jak stroje u niewiast!

— Jest... ten niecierpi niewiast, a ciągle o nich mówi — szepnął ze złośliwym uśmiechem Witold do Jakóba.

— Zrobi kto odkrycie w mózgu własnym i sądzi, że je uczynił w naturze, a wszyscy owczym pędem uznają to za pra-





Mapka kolei syberyjskiej.

wdę rzeczywistą i zaczynają na niej budować swoje własne teorie, a na ich teoriach budują znowu inni, i tak powstają gmachy kilkopiętrowe, stojące dopóty, dopóki ktoś drugi nie odkryje znów w swoim mózgu czegoś innego, mającego więcej pozorów prawdy... Wtedy tamte padają jak domki z kart. Długie wieki przecież mniemano, że ziemia jest płaską, a sklepienie niebios wspiera się na kolumnach; potem że słońce spaceruje dokoła ziemi, aż przyszedł Kopernik i przekonał wszystkich, że jest inaczej.

— Czyż pan byłbyś przeciwnikiem dociekań naukowych, pan, uczony? — zapytał Warburton zdziwiony.

— Przeciwnikiem? bynajmniej, jestem tylko przeciwnikiem pychy uczonych. Ja sam uczyć się ciągle, badam, szukam, ale nie chępię się nigdy, że wiem coś na pewno, bo przekonałem się nieraz, że gdy mi się wydawało iż jestem u źródła prawdy, byłem od niej daleko... Bóg tylko jeden jest prawdą nieomylną. On trzyma w swych potężnych dłoniach końce osi ziemskiej i kieruje przelewaniem się oceanów od bieguna do bieguna. On nadał światu prawa niezmiennie i wyznaczył drogi gwiazdom. On niepojęty i niezbadany, korzy pychę rozum ludzkiego, ukazując mu w dawnych cmentarzyskach szczątki wymarłej od wieków flory, i mówi: „Proch jesteś i w proch się obrócisz.”

Strand mówił z zapalem, a ostatnie jego wyrazy porażały wszystkich w zamyślenie. Chwilę panowało milczenie, wreszcie Warburton przerwał je, zwracając się do Jakuba.

— Czekamy drugiego aktu tragedii, doktorze. A najprzód, jak wyglądały Tatry zmarłych powstałe?

— Nie były one tak wysokie jak dziś, ale stanowiły raczej grupę wzgórz. Krajobraz był różny od poprzedniego. Liczne dęby o liściach zawsze zielonych, tworzyły razem z Figowcami, Magnoliami oraz gatunkami Protaceów i Merikaceów las mieszany, uderzający różnorodnością typów, mieszaniną rodzajów właściwych obecnie strefie zwrotnikowej z jednej, a strefie drzew zielonych z drugiej strony. Skłpe są drzewa iglaste podobne do cedrów i cyprysów, ale są palmy o liściach wachlarzowatych i pierzastych, są gestwiny bambusów, pandany o długich, wązkich liściach, wsparte na rusztowaniu korzeni powietrznych, są jeszcze tu i owdzie przysadziste pnice sagowców, wysmukłe pnice drze-

wiastych paproci, a przede wszystkim las wyniosłych drzew zwrotnikowych o liściach wielkich, lip, fig, drzew chlebowych, z ljanami pnących się winorośli i bluszczów.

(d. c. n.)

## Mapka kolei syberyjskiej.

Znajomość geografii bez mapy jest niemożliwą; nie tak nie pomaga do oryentowania się i zrozumienia odległości i kierunków, jak mapa. Sądzę więc, że czytelnicy „Wieczorów” z ciekawością i pożytkiem przypatrzą się mapce kolei, która łączy Europę z oceanem Spokojnym i Chinami. Linia czarna oznacza kolej już ukończoną. Czarna z punktami białymi — budującą się, a punktowana ze Stretienska do Chabarowska — czasowo zarzuconą.

Pierwotnie cała kolej miała przechodzić przez posiadłości Cesarstwa Rosyjskiego, w 1898 r. na mocy układu z Chinami zawartego, postanowiono przeprowadzić ją w Cziy do portu Artiura, Mukdenu i Pekinu przez prowincję chińską — Mandżurję.

W poprzek jeziora Bajkalskiego przewozi pociągi wielki prom parowy. Długość całej linii od gór Uralskich wynosi około 7,700 kilometrów.

## Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

DRUKARSTWO.

(Dalszy ciąg)

Nazwiska tych trzech ludzi, którzy mieniem swoim i głową tak dzielnie pomagali Gutenbergowi do udoskonalenia wielkiego kunsztu, były: Hejlmann, Andrzej Dryzehn i Riff. Żaden z nich nie doczekał upragnionej chwili tryumfu wspólnych usiłowań.



Do żywego dotknięty śmiercią swych współników, zniechęcony, ścigany przez wierzących, Gutenberg zaprzestał prac swoich i opuścił Strassburg.

Wróciwszy do rodzinnego swego miasta, Moguncji, wziął się napowrót do pracy. Rysował i rytował, odlewał, próbował rozmaitych mieszanych na czcionki i rozmaitych sposobów odbicia. Niezadowolony z tych rezultatów, zaczął pracować w innym kierunku, ale ponieważ brakowało mu środków, wszedł więc w nową spółkę z Janem Faustem i Piotrem Schoefferem.

Jan Faust był to bogaty bankier moguncki. Przebiegły a przewrotny, pożyczył on pieniędzy Gutenbergowi, ale zapewniwszy sobie z góry wszystkie korzyści z przyszłego wynalazku. Schoeffer był to młody, bardzo zręczny kopista, zięć Fausta.

Utrzymują, że Gutenberg wynalazłszy czcionki ruchome z kruszcu, nie zdołał jednak wynaleść odpowiedniej na nie mieszanki kruszcowej, co dopiero miało się udać Piotrowi Schoefferowi, który połączywszy w pewnym stosunku ołów z antymonem, otrzymał mieszaninę miększą od żelaza, ale dość twardą, żeby ciśnienie prasy wytrzymała. Od tej chwili wynalazek druku stał się faktem dokonany.

Ale od tej chwili też scena zmieniła się zupełnie. Po dokonaniu wynalazku, wynalazca stał się niepotrzebnym, a chytry Faust zaczął myśleć tylko o tem, jakby się pozbyć Gutenberg. Korzystając ze swego charakteru wierzącego, zmusił Gutenberg do zrzeczenia się na korzyść swoje wszelkich praw do jakichkolwiek z wynalazku pożytków. Przywiedziony do nędzy ojciec drukarstwa, zmuszony był opuścić Moguncję.

Po usunięciu się Gutenberg, Faust, przyjąwszy do spółki zięcia swego, począł ciągnąć korzyści z nowego kunsztu, sprzedając bez skrupułu drukowane książki za rękopisy. Robotnikom swoim, niezadowolonym z postępo-

wania tego z „mistrzem,” kazał przysięgać na Biblię, że dochowają tajemnicy. Dla tem lepszego zapewnienia się o ich milczeniu, stary lichwiarz kazał im wystawić sobie rewersa na pewne sumy, których wytrąceniem z płacy zagroził im w razie, gdyby nie umieli utrzymać języka za zębami. Wreszcie urządził drukarnię w głębi ponurej piwnicy i robotników trzymał w niej pod kluczem. Dzięki tym ostrożnościom, Faust sprzedawał mnóstwo książek, które brano powszechnie za rękopisy. Ale wśród największych sukcesów umarł, dotknięty zarazą.

Zięć jego Schoeffer w postępowaniu swoim względem Gutenberg nie naśladował wcale Fausta. Faust matactwami swoimi byłby może zupełnie pozbawił Gutenberg sławy wielkiego wynalazku, gdyby Jan Schoeffer nie kazał być wydrukować na czele jednej książki z roku 1505, dedykowanej cesarzowi Maksymilianowi: „W Moguncji ta cudowna sztuka wynaleziona została przez genialnego Jana Gutenberg, w r. 1450, a następnie ulepszona dla potomności trudami Fausta i Schoeffera.”

Gutenberg dwoma latami tylko przeżył niewdzięcznego swego współnika. Opuściwszy Moguncję, wrócił do Strassburga, gdzie przy pomocy kilku przyjaciół założył drukarnię. Pod koniec życia przyciągnął go do siebie arcybiskup moguncki, zaliczywszy go w poczet swoich dworzan i wyznaczywszy mu pensję. Dzięki tej wspaniałomyślnej, choć nieco spóźnionej protekcji Gutenberg mógł ostatnie chwile życia poświęcić rozmaitym w drukarstwie ulepszeniom. Umarł 15 lutego 1468 r.

Po śmierci twórcy drukarstwa, „dzieci Gutenberg,” jak nazywano towarzyszy sztuki drukarskiej, rozproszyły się po rozmaitych stronach Europy, niby nowi apostołowie wiedzy i postępu. Posiadali drukarnie w Kolonii, Augsburgu, Norymberdze, Bazylei i t. d. W Niemczech, Szwajcaryi



Wybuch Wezuwiusza.



i Francyi niebawem ujrzano otwierające się mniejsze lub większe drukarnie.

Wynalazek druku zyskał chętnie poparcie u większej części ówczesnych monarchów, którzy dobrze zasłużyli się ludzkości, sprzyjając rozwojowi wynalazku, którego przeznaczeniem było otworzyć oczy ludów na światło prawdy i rozumu.

Jedną z najznakomitszych na świecie drukarni, jest drukarnia zwana „narodową”, w Paryżu, którą założył Ludwik XIII, a raczej minister jego kardynał Richelieu, w parterze i antrsołu wielkiej galeryi Luwru. W r. 1809 przeniesiony został ten zakład do pałacu Rohanów przy ulicy Vioille-du-Temple. Pod względem rozmaitości pism jest to najbogatsza na całym świecie drukarnia. Posiada ona kompletny zbiór czcionek greckich, hebrajskich, arabskich, chińskich, i t. d. Urządzona jest na taką skalę, że tysiąc robotników mogłoby w niej pracować wygodnie. Zwykle jednak zajmuje ona czterdziestu giserów, dwustu składaczy, dwustu pięćdziesięciu preserów, dwudziestu introligatorów i odpowiednią liczbę dziewcząt do składania arkuszy, broszowania i t. d.

Cesarska drukarnia w Wiedniu zasługuje na wzmiankę zaszczytną za to, że chlubnie odznaczyła się między innymi przyswojeniem sobie i wprowadzeniem w praktykę wszystkich odkryć, jakie nauka nowożytna postępowi druckarstwa dostarczyła. Fotografia i galwanoplastyka znalazły w zakładzie tym liczne zastosowania, przyczyniające się do wielostronnego podniesienia sztuki drukarskiej.

Miedzy znakomitymi drukarzami, zasłynęła między r. 1488 — 1580 rodzina znana pod nazwą *Alde*. Polem jej działania była Wenecya, w której pierwszy *Alde Monucysz*, zwany *starym*, założył drukarnię i zajmował się głównie wydawnictwem arcydzieł literatury starożytnej. Wydania jego mają powagę rękopisów; godłem jego drukarni był delfin okrzęcony około kotwicy. Po nim kierowali drukarnią Paweł Manucysz i syn jego *Alde Manucysz*, zwany *młodym*, ciesząc się niepomierną wziętością powszechną i protekcją papieży.

W XV w. stało się głośnem nazwisko *Elzewirów*, drukarzy holenderskich. Dwaj bracia: Bonawentura i Abraham Elzewirowie, mieli drukarnię w Leydzie (1618—1658), z której puszczały w świat do dziś dnia wysoko cenione arcydzieła sztuki typograficznej.

Najstarszym ze znanych druków wykonanych w Polsce, jest dzieło łacińskie kard. Jana de Turrecremata *Explanatio in Psalterium*, drukowane w Krakowie między r. 1474—1476 u drukarza niewiadomego nazwiska. W tym czasie wyszły też w Krakowie *Omnes libri* św. Augustyna. Polski druk po raz pierwszy pojawił się w łacińskim dziele *Statuta synodalia* wyd. w Krakowie 1475. Odtąd drukarstwo nie tylko rozkwita w Polsce samej, ale i obcym krajom dostarcza biegłych w tym kunszcie mistrzów.

(d. n.)

## Piosenka.

Hej, na pole! hej na pole!  
Chodźmy witać jasne słońce,  
Chodźmy kwiecie rwać pachnące,  
Hej na pole! hej na pole!  
Kwitną maki i kłkole,  
Rosy na nich wiszą lśniące...  
Hej, na pole! hej na pole!  
Chodźmy witać jasne słońce!

\* \* \*

Nazbieramy kwiatów pęki,  
Przystroimy krzyż ubogi,  
Co spogląda na rozlogi...  
Nazbieramy kwiatów pęki,  
Zadrży słodki dźwięk piosenki,  
Hen w błękitne pomknie drogi...  
Nazbieramy kwiatów pęki,  
Przystroimy krzyż ubogi!...

\* \* \*  
Mknie piosenka, a radośnie,  
Aż się srebrna woda śmieje,  
Aż weselej wietrzyk wieje...  
Mknie piosenka, a radośnie,  
Słonko patrzy tak miłośnie,  
Szumią łany — ślą nadzieje...  
Mknie piosenka, a radośnie,  
Aż się srebrna woda śmieje..

W. Z.

## TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

### Przygody komodora Urricana.

Gdy o godzinie ósmej rano, jedenastego maja, komodor Urrican otrzymał rezultat rzuconych dla siebie kości, już o kwadrans na dziesiątą opuścił Chicago.

Jak więc widzimy, nie tracił czasu na próżno, i tracić go nie powinien, jeżeli tylko miał zamiar ubiegać się o wygraną.

— A co, czyż nie miałem słuszności, utrzymując, że będziesz pan faworyzowany przez los?... Jakiż świetny początek! Ho, ho, ile to czasu potrzebaby teraz tantym drugim, aby się tak daleko dostali! Zaprawdę, jest czego panu powinszować — mówił przy wyjściu z Audytorium barczysty jegomość, będący niejako przywódcą partyi przyjaznej komodorowi.

— Niepotrzebnie się pan fatygujesz i obciążasz mnie swemi powinszowaniami — odparł Urrican szorstko. — Zbyt daleką mam drogę, abym jeszcze ciężar jakichś tam powinszowań dźwigał ze sobą.

— Ależ pięć i cztery, komodorze, to tak świetny rezultat gry, o jakim tylko marzyć można! — zawołał ktoś inny.

— Może być świetny dla tych, którzy mają jakie interesy na Florydzie, ale nie dla mnie — odparł zagadniony gniewnie.

— Zauważ pan wszakże, że choć trochę daleką masz tę pierwszą podróż, ale starczy ona za dwie lub trzy inne, bo o ile od razu wyprzedzasz swych współrywali

— To żadna łaska, to mi się należało, ponieważ wyjeżdżam ostatni.

— Niech tam komodor mówi co chce, ja jednak utrzymuję stale, że masz pan olbrzymie szczęście i jeszcze jedno rzucenie kości z dziesięciu punktami, a wygrasz miliony w dwóch zaledwie ciągnięciach...

— Oto, co się nazywa gadać bez rozumienia rzeczy! — huknął komodor — A co pan powiesz na to, jeżeli nie otrzymam koniecznych punktów dziesięć, a tylko dziewięć i choć tak bliski celu będę musiał błąkać się około niego? Bóg wie jak długo. Chcesz pan rezonować w tej kwestyi, to zapoznaj się pierwej z zasadami gry Hypperbonal..



— A jednak każdy na miejscu pana byłby uszczęśliwiony tym rezultatem i nie przykuszylby sobie tej podróży...

— Niechajby był, ale ja nim nie jestem!

— Pomyśl pan tylko: sześćdziesiąt tysięcy dolarów garniesz na pewno do kieszeni za swoim powrotem.

— Mogłbym je zgarnąć również dobrze, gdyby ta sześćdziesiąt przedziałka była Stanem sąsiadującym z Illinois, a nie tym obrzydłym półwyspem Florydy, leżącym na skraju południowo-wschodnich posiadłości Unii. Trzeba być wprost głupim, żeby to nazwać szczęściem i niechby tylko taki głupiec spróbował przyjemności podobnej podróży — krzychał unosząc się coraz więcej gwałtowny komodor.

I wymyślając w dalszym ciągu na wszystkich i wszystko, machając rękoma w nieumiarkowanych ruchach, wracał do swego domu przy Randolph Str. z nieodstępnym sobie Turkem, który znów ze swej strony począł się tak rzucać i tak krzyczeć słowa najwyższego niezadowolenia, że aż pan jego musiał mu nakazać milczenie.

Jakto pan jego? Więc Turk jest może niewolnikiem komodora, mimo istniejącego od dawna prawa wolności osobistej, mimo, że rysami ogorzałej swej twarzy nie zdradza nawet pochodzenia murzyńskiego. Albo może jest tylko jego płatnym służącym?

Ani jedno, ani drugie. Właściwie, wzajemny tych dwóch ludzi stosunek trudny jest do określenia. Turk spełniał względem Urricana poniekąd taką rolę towarzysza, jaką przyjmują niekiedy inteligentne panie, otaczając nieodstępną opieką bogate panny, sieroty, lub podeszłe w wieku matrony; stanowisko znane ogólnie pod nazwą „damy do towarzystwa.” Ale i ta nazwa towarzysza nie jest zupełnie odpowiednią, bowiem Turk zarówno wykształceniem jak stopniem służby o wiele niższe od komodora zajmował miejsce.

Wstąpiwszy bowiem do marynarki jako chłopiec okrętowy, przy braku głębszych wiadomości pozostał tylko prostym majtkiem. Okoliczności wszakże tak się składały, że znajdował się zawsze na tych samych okrętach, na których Hodge Urrican pełnił służbę, postępując coraz wyżej, aż doszedł w końcu ze stopnia pułkownika, a następnie kapitana do władzy domodora.

Przez tyle lat mogli się obaj poznać dobrze i Turk był jedynym człowiekiem, który żyjąc razem z gwałtownym oficerem, nie miał z nim żadnego zajścia. Jak się to działo, nie umiał sobie nikt wytłumaczyć.

Ostatecznie obaj tak przywykli do siebie, że jeden bez drugiego obejść się nie mógł i skoro komodor uwolnił się ze służby, Turk uczynił to samo, aby pełnić w domu swego zwierzchnika honorowy urząd zarządzającego.

Któżby wszakże mógł przypuścić, widząc go tak prawie zawsze nie posiadającego się ze złości, że był to w gruncie rzeczy najłagodniejszy i najzgodniejszy człowiek na świecie, który w czasie swej długoletniej służby na okręcie nie należał nigdy do żadnych kłótni, nie brał udziału w żadnych bójkach swoich towarzyszy, nie podniósł ręki na nikogo, nawet jeśli mu się czasem zdarzyło wychylić więcej nad zwykłą miarę kieliszków whisky.

Ale jeśli tak jest rzeczywiście cóż właściwie zmuszało go do odgrywania przykrej roli złoźnika, przechodzącego gwałtownością najgwałtowniejszego między ludźmi.

To była jego tajemnica i nigdy bodaj nie byłby się zgodził na dobrowolne odkrycie jej komukolwiek. Właściwie jednak był to wynik poważnego zastanowienia i żelaznej woli potrzymanywanego wielkim przywiązaniem do komodora.

Pocziwe serce marynarza pociągane zapewne siłą kontrastu, oddane było Urricanowi całkowicie i gotowe do największych dla niego poświęceń. Gdy raz wypadkiem uczynił spostrzeżenie, że komodor uspokoił się prawie natychmiast w największej swej złości, gdy widział udane jego uniesienie, powtarzał odtąd tę komedję ilekroć obawiał się złych skutków jego gwałtownych wybuchów. Bo skoro prawdziwy złoźnik, usłyszał jak Turk groził pobiciem, oka-

leczeniem lub nawet zabiciem winowajców, sam przestawał miotać się w pasy, a wszelkimi sposobami starał się go powstrzymać od popełniania którejkolwiek z tych zbrodni, któreby na niego ściągnęły surowy sąd stróżów ogólnego bezpieczeństwa.

I teraz gdy Hodge Urrican niezadowolony z rzutu kości począł wymyślać rejentowi Tornbrock, Turk z podniesionymi pięściami nibyto usiłował wpaść na scenę, grożąc oberwaniem niegodziwemu prawnikowi obu uszów, aby je w miejsce kwiatu założyć do butonierki swego pana. Grał zaś tę rolę tak wybornie, że Urrican, nie posądzając o podstęp, a przejęty rzeczywistą obawą, wynosił się co prędzej z Auditorium, rozkazując mu iść tuż za sobą.

Takim był ten zręczny oryginał, który wraz z szóstym partnerem puszczał się z centralnego dworca w Chicago w daleką podróż do Florydy. To też przyglądały się mu tłumy ciekawych prawie z równym zajęciem jak samemu komodorowi, w którego szczęście tak wierzono, że bardzo dużo poczyniono zakładów na jego wygranę i hucznymi żegnano okrzykami.

Oczywiście marynarz nie myślał w tej podróży o przyjemnościach turysty, więc i plan drogi obrał jak najkrótszy.

— Słuchaj Turk — rzekł, powróciwszy z Auditorium — słuchaj i patrz tu uważnie.

— Słucham i patrzę, panie komodorze.

— Tutaj na mapie jest Illinois z miastem Chicago, a tam na dole półwysp Florydy...

— Znam go komodorze, albośmy to raz płynęli tamtędy!

— Więc rozumiesz, że gdybyśmy mieli teraz udać się do Fallahasee, stolicy Florydy, albo do Pensacola, a chociażby do Jacksonwille, dałoby się to zrobić dość łatwo i szybko przy rozumnej kombinacji w wyborze kolei.

— Tak jest, komodorze, dałoby się to zrobić łatwo i szybko... — potwierdził Turk

— I gdy pomyślę, że jakaś tam niemądra sroka, jakaś panna Helena Nałęcz, ma zaledwie marnych dwie godziny drogi...

— Wściekłość mię na nią bierze, i gdybym miał ją tu pod ręką — zamruczał groźnie Turk.

— I że ten Hypperbone...

— O, ten Hypperbone, to skończony opryszek, i gdyby żył...

— Cicho, Turk, on już nie żyje — rzekł uspokajająco Urrican. — Ale co za myśl idyotyczną miał ten człowiek, żeby właśnie w pięćdziesiątej trzeciej przedziałce umieścić Florydę...

— Na to trzeba być skończonym idiotą, komodorze.

— I gdyby jeszcze zadowolnił się półwyspem tworzącym na stronie południowo-wschodniej ostatni już kraniec posiadłości Unii, ale gdzie tam! Jemu strzeliło do głowy wybrać tę oto w zatoce wysepkę, źle mówię — tę marną okruszynę ziemi, która nazywa się Key-West, która dobrą jest do ustawienia użytecznej latarni morskiej, a na której głupi ludzie pobudowali miasto. I nam teraz trzeba się tam powlec.

— Masz słusz słuszność, komodorze, trudno o głupszy pomysł!...

— A jednak czy nam się to podoba czy nie, jechać tam musimy. I tak myślę, że najlepiej będzie odbyć połowę drogi t. j. około dziewięćset mil lądem, czyli koleją żelazną aż do Mobile, w Stanie Alabama, skąd już parowcem dostaniemy się do samego Key-West.

Kiwnięciem głowy Turk potwierdził przedstawiony plan, który w rzeczy samej nie wymagał żadnej zmiany, bo jeśli jadąc pociągiem, staną w Mobile w 36 godzin, pozostanie im jeszcze całych dni dwanaście na podróż parowcem.

— Tak, tak... plan ten jest jedyny — mruzczał komodor, mierząc wielkimi krokami długość pokoju — i jeśli byśmy nie przybyli na czas, to chyba tylko, gdyby zabrakło statków na wodzie.



— Albo gdyby wody zabrakło w morzu — dorzucił Turk groźnie, chociaż niewiadomo przeciw komu, chciał tym razem gniew swój skierować.

Gdy więc pewną było rzeczą, iż nie zabraknie wody w morzu, nie było też obawy, aby w porcie tak niezmiernie ruchliwym jak Mobile, nie miał się każdego dnia znaleźć statek, dążący na ocean Atlantycki; a na tej drodze, wiedzieli o tem dobrze zarówno Urrican, jak Turk, wyspa Key-West jest przystankiem, którego żaden nie pominie okręt.

(d. c. n.)

## NASZE RYCINY.

Wybuch Wezuwiusza. — Góral zakopiański w Rzymie.

Stary nasz wulkan europejski siedział sobie dość cicho przez kilka lat, aż dopiero w maju r. b. przyszła mu ochota huczeć, ziać ogniem, wyrzucać z siebie popiół i kamienie, jednym słowem urządzać prawdziwy, a bardzo silny wybuch. Ludność okoliczna w niemałym była strachu, gdyż w wielu miejscach spadł deszcz kamieni, które poprzebijały dachy blaszane. Domy wyglądały jakby przeszły bombardowanie, tor kolejowy został zniszczony i tu i owdzie płyną potoki lawy. Gazy podziemne, szukając sobie drogi, spowodowały popękanie gór w wielu miejscach.

Najgorsza była noc z 18-go na 19-ty maja, zwłaszcza w miasteczku Torre del Greco, leżącym u stóp Wezuwiusza. Ten wybuch przedstawia właśnie nasza rycina.



Góral zakopiański w Rzymie.

Nakazano publiczne modły i procesye, aby uprosić Boga o zmiłowanie; od tej nocy zmniejszyło się natężenie wybuchów, tylko wciąż jeszcze nad kraterem kłębią się obłoki dymu i pary.

Z powodu miłościwego lata, do Rzymu przybywają wciąż liczne pielgrzymki z różnych krajów, aby odprawić modły jubileuszowe na grobie SS. Apostołów Piotra i Pawła. Na wiosnę przybyła do Rzymu pielgrzymka z Galicji licząca około 2000 osób, w której brało udział wielu włościan i górali w swych malowniczych strojach. Ponieważ czytelnicy nasi w tym roku dzięki „Róży bez kolców” zapoznali się bliżej z Tatrami, Zakopanem i jego stałymi mieszkańcami, podajemy im fotografię górala w świątecznej swojej guni, jak wchodzi do jednego z kościołów rzymskich.

W dniu 8 maja Ojciec św. udzielił tej pielgrzymce swego błogosławieństwa.

### NITECZKA ARYADNY.

od Szarotki dla Maryś S.

Pó	ki	bie	ży	bi	je	glę
mło	w to	je	nie	ża	czuj	bo
dość	pó	sil	lu	ko	ko	so
ki	ce	dźwię	le	mlę	wy	ko
ser	ków	da	dą	wznoś	i	lem
stroń	patrz	du	szę	za	ce	goń

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go

#### Łamigłówki sylabowej:

- 1) Drozd. 2) Ontario. 3) Laboratorium. 4) Upsala 5) Dol-lart. 6) Zaimek. 7) Irawadi. 8) Polikarp. 9) Olesko. 10) Romulus.
- 11) Opole. 12) Zadar. 13) Udziec. 14) Mayence.

Do ludzi po rozum, do matki po serce.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Pocalunek słońca, baśń przez Z. Potworowską (z ryc.) — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską. — Mapka kolei syberyjskiej. — Z dziejów cywilizacji, drukarstwo. — Piosenka, wiersz przez W. Z Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Nasze ryciny: Wybuch Wezuwiusza, Góral zakopiański w Rzymie. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Dodatek: Riki-tiki, bohater dżungli indyjskich, opracowała A. Skibniewska (z ryc.) — Pies źle wychowany, wiersz przez Irenę Mrozowicką. — Muszki hiszpańskie. — Dzienniczek Wańdźi. — Łamigłówki i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na wakacjach, przez Maryę Łopuszańską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Варшава 1 Юля 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.





## Riki-tiki.

(Dokończenie).

Hagajna z goryczą spostrzegła, że straciła stosowną chwilę do zemsty, nie w zamian nie zyskując, gdyż jajko jej pozostawało nadal w łapkach mungosa.

— Oddaj mi moje jajko, a obiecuję ci solennie, że odejdę stąd i nigdy tu już więcej nie powrócę! — prosiła, chylając głowę ku ziemi.

— Tak, tak, pójdziesz stąd, to rzecz pewna, żeby tu więcej nie wrócić, ale nie dobrowolnie. Czyś gotowa do walki, bo wielki człowiek poszedł już po strzelbę i niedługo to już nawet walczyć nie będzie potrzeba, a taką mam ochotę i z tobą się spróbować.

Riki-tiki jak szalony zaczął wkoło Hagajny dzikie tuty wyprawiać, zawsze się pilnując, żeby go dosięgnąć nie mogła. Hagajna skurczywszy się najprzód, dla narzucenia większego rozpędu, całym ciałem rzuciła się na niego. Riki w tył odskoczył.

Raz po razie, z niesłychaną szybkością rzucała się na mungosa ale zawsze bez skutku, głowa jej z suchym szelestem spadała na matę werendy.

Riki-tiki w zapale walki zapomniał o jajku; leżało ono na najwyższym stopniu ganku; przeciwnie, Hagajna tylko je ciągle miała na myśli i ukradkiem po troszku coraz bardziej zbliżała się do niego. W końcu, korzystając z chwili, gdy Riki, zaczerpnąwszy powietrza w płuca, zanurzył się nad nowym jakimś podstępem, Hagajna chwyciła je w zęby i zsuwając się ze stopni werendy, jak strzała, puściła się ścieżką ku ogrodowi.

Gdy chwila jest krytyczną, gdy rozchodzi się o życie, wąż taki w ucieczce wygląda jak bat rozpuszczony a grzbiecie galopującego konia; w takich rzutach gwałtownych uciekała właśnie Hagajna. Riki zmiarkowawszy, co się dzieje, puścił się w pogoń; wiedział dobrze, że jeżeli teraz jej nie pokona, stracone będą odniesione dotąd zwycięstwa, i trudy a niepokoje na nowo się rozpoczną.

Hagajna uciekała wprost ku wysokiej trawie, pod krzaki głogu, na którym Darsi ciągle jeszcze z całych sił wyśpiewywał swoją pieśń; jego towarzysza więcej miała rozum, czuła, że nie czas na tryumfy, że trzeba teraz dopomódz, albo wszystko przepadnie; to też sfrunąwszy z gniazdka, zatrzepotała skrzydłami tuż przed samym nosem Hagajny. Gdyby Darsi był to samo uczynił, byłby się wąż może przestraszył hałasu, i zmienił kierunek ucieczki, albo nawet całkiem zatrzymał, a tak chwilę się tylko zawahał, poczem schyliwszy głowę niżej, dalej uciekał w tę samą stronę. Ale już ta jedna chwila wahania była zgonną.

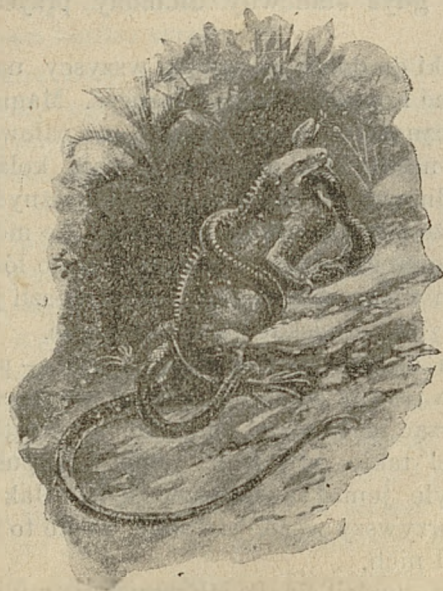
Riki dogonił Hagajnę i właśnie w chwili gdy dobiegała do jamy, stanowiącej jej mieszkanie, białemi, ostremi ząbkami wpił się jej w ogon.

Zwykle w takich razach stare i doświadczone nawet mungosy dają za wygraną i nie odważają się iść za węzłem do jego nory, ale czyż Riki zważał na jakiekolwiek niebezpieczeństwo? Nora ciemna była jak noc i Riki nie mógł przewidzieć nawet, gdzie się rozszerzy tak, że Hagajna przeciwko niemu zwrócić się będzie mogła.

Mimo to z całych sił trzymał ją zębami, a nogami opierał się o wilgotną ciepłą ziemię, żeby ją w biegu powstrzymać.

Tymczasem Darsi czuwał nad wejściem do nory, a widząc, że się nawet trawa przestała poruszać, posmutniał bardzo i rzekł do żony:

— Już go nigdy więcej nie ujrzymy, naszego mężnego Riki-tiki. Nasz wielki bohater wstąpił do grobu





swojego, bo go Hagajna tam w głębi ziemi z pewnością na śmierć zagryzie! O nasz dzielny Riki, nie żyje już! nie żyje!

I przeehyliwszy smętnie główkę, siadł na gałązce przed gniazdkiem i żalosnym głosem zaczął pieśń pogrzebową.

Właśnie w chwili, gdy najbardziej rozdzierające tony rozlegały się po ogrodzie, nad otworem jamy zadrżała trawa, i wyrzwał nim Riki-tiki, cały obwalany błotem.

Riki oczy zmrużył, bo go światło oślepiło, a Darsi swoje szeroko ze zdumienia otworzył i nagle urwał w połowie najsmutniejsze tryle.

Riki kichał, parskął, wąsami ruszał, kuź z siebie otrząpywał — aż rzekł:

— No, skończona sprawa! Nigdy już Hagajna jeść nie będzie twoich dzieci, ani nikomu szkody nie wyrządzi.

A czerwone mrówki, które żyją wśród trawy, zaczęły zaraz wsuwać się do jamy, jedna po drugiej, aby się o prawdzie słów tych przekonać.

Riki-tiki tymczasem, tam gdzie stał, zaszył się w gestą trawę, w mgnieniu oka zasnął i spał bez przerwy, aż słońce zachodzić zaczęło. Ale bo rzeczywiście, zasłużył na odpoczynek, tak wielką wykonawszy w tym dniu robotę.

## VI.

— Ot! au! — ziewnął, obudziwszy się nad wieczorem. — Teraz wrócę do domu, a ty Darsi powiedz wielką nowinę o śmierci Hagajny kotlarzowi, on już ją na cały ogród rozgłosi.

Kotlarz, to ptaszek, którego głos tak dzwoni, jakby ktoś małym młotkiem o mosiężny garnek uderzał. Dla tego spełnia on w każdym indyjskim ogrodzie, w kraju dżungli, pełen znaczenia urząd woźnego, który mieszkańcom wszystkie nowości dnia obwieszcza.

I gdy Riki-tiki wracał ścieżką ku domowi, usłyszał za sobą pierwsze dźwięki kotlarza, wzywającego wszystkich do uwagi. Po nich zaś rozległo się w przestrzeni: Ding-dong-tok! Hag już nie żyje!—ding-dong!—Hagajna nie żyje! — ding-dong-tok! — A wtedy radość powstała między ptaszętami, a nawet wszystkie żaby zaczęły wesoło rechotać, gdyż stanowiły ulubiony przysmak Haga i Hagajny.

Gdy Riki do domu powrócił, wszyscy naraz chcieli mu dziękować i ojciec i matka i Henryś. Mama oblała go łzami wdzięczności, a Henryś raz po raz całował w zawałany błotem nosek, Riki dostał wspaniałą kolację i tym razem nie odmawiał sobie niczego i jadł różnych dobrych rzeczy tyle, że już więcej i pomieścićby nie mógł. A potem na ramieniu chłopczyka powędrował do łóżka.

Późnym wieczorem matka i ojciec weszli jak zwykle do sypialni synka, uściskać go na dobranoc.

— Riki ocalił nam wszystkim życie! — powiedziała mama, a była jeszcze całkiem blada od wzruszenia. Ktoby myślał, patrząc na to małe, milutkie zwierzątko, że ono takie dzielne! takie odważne. Czym przypuszczała dawniej, że tyle jemu zawdzięczać będę! Jak dobry jest Bóg, że stworzywszy węże, stworzył także to zwierzątko na obronę od nich.

Riki-tiki obudził się, bo jak wszystkie mungosy, miał sen bardzo lekki.

— Ach, to wy? — zawołał. — Czemuż jeszcze nie śpicie? Przecie nie macie się czego obawiać. Niema już więcej węzów w ogrodzie, a gdyby nawet jaki był, ja tu jestem! możecie spać spokojnie.

Zwycięstwo odniesione nad całą rodziną Haga napełniło go dumą, poczuciem swej wartości, ufnością w swe siły — ale nie stał się mimo to Riki zarozumiałym. I odtąd już zawsze ogrodu pilnował, żeby w nim żaden wąż głowy nie śmiał pokazać — tak, że największe nawet węże Cobra, drżały i uciekały czempredzej, słysząc choćby z oddalenia jego okrzyk wojenny: Riki-tik, tiki-tiki-czoł!

## PIES ŹŁE WYCHOWANY.

Czy nie znacie Azora? Nie żałujcie wcale. Ja chociaż znam go dobrze, bynajmniej nie chwale, Bo i jakże tu chwalić, kiedy nie ma za co? I z naszego Azora prawdziwe ładaco. Zamiast pilnować domu, dusi kury, kaczki — A niedawno wziął cięgi porządne od praczki Za to, że stos bielizny, która schła na płocie, Porozrywał zębami i unurzał w błocie. A jaki jest łakomy! choć wie, że szkaradnie Kiedy pies zamiast prosić, sam jedzenie kradnie, Trudno się upilnować, żeby w całym domu Nie wyjadał wszystkiego wiecznie pokryjomu. Ot, niedawno, gdy mały Jaś na podwieczorek Dostał mleka, zgadnijcie, co zrobił Azorek? Wskoczył mu na ramiona, przestraszył dziecinę, Tak, że było lamentu więcej niż godzinę. Mleko wypił, stłukł talerz i uciekł z pokoju, Nie chcąc, aby kto zastał go na placu boju. Nie pomogła ucieczka; koniec całej sprawy Oj, nie był dla brzydkiego łakomcy ciekawy. — Gdyby się zastanowił, co go za to czeka, Możeby się był Azor wyrzekł tego mleka. Tak to, nieraz wybity, przez wszystkich łajany, Żyje w ciągłych kłopotach, pies źle wychowany.

*Irena Mrozowicka.*

## Muszki hiszpańskie.

Cała aleja od domu do sadzawki była wysadzona krzakami bzu. Gdy kwitły wyglądały jak wielkie bukiety białe lub liliowe o różnych odcieniach. W początku czerwca cudnie to wyglądało; teraz bez już okwit i krzaki stoją jakby smutne...

Józia biegała często po tej alei i pewnego razu poczuła silny bardzo zapach. Ale nie był to zapach pięknych bzów, co kwitły przed miesiącem. Był jakiś dziwnie przenikliwy i — wcale nie przyjemny. Józia bardzo była ciekawa, co to tak w krzakach bzu pachną może, ale chociaż przypatrywała się listkom i gałęziom, nic jakoś spostrzedz nie mogła; żadnego kwiatka nie było w pobliżu, któryby miał tak dziwną woń.



Postanowiła więc Józia zapytać o to nauczycielki, panny Maryi, która bardzo chętnie odpowiadała zawsze na pytania dziewczynki, i z którą Józia bardzo lubiła rozmawiać poza lekcją, bo na lekcji bywało rozmaicie...

To też gdy Józia zobaczyła, że panna Marya poszła po podwieczorku z książką do ogrodu, wybiegła za nią zaraz.

— Przepraszam panią...

— A co Józieczko?

— Czy ja mogę się o coś spytać?

— O cóż takiego?

— Oto chciałam wiedzieć, proszę pani... albo nie! Niech pani pójdzie ze mną w stronę sadzawki, to pani sama się przekona...

— Oho, cóż Józia zaczyna być tajemnicza. Więc chodźmy.

Józia biegła naprzód i nagle zatrzymała się przy jednym z krzaków bzu.

— Co tu tak pachnieć może? — spytała, pociągając noskiem z grymasem. — Czy pani zna ten zapach?

— Doskonale. To muszki hiszpańskie, czyli kantarydy.

— Kantarydy? Co to takiego? kwiaty? Nigdy o takich nie słyszałam.

— Nie dziwnego, żeś nie słyszała, Józiu. Mieszkasz stale w mieście, a tam niema kantaryd.

— Więc cóż to jest, moja droga pani?

Panna Marya wspięła się na palce, bardzo delikatnie nachyliła cienką gałązkę i Józia ujrzała kilka pięknych, zielonych, błyszczących żuków, przyczepionych do liści bzu i doleciał ją jeszcze silniejszy zapach.

— Jakto, proszę pani, to te robaki tak czuć?

— To nie są robaki, Józiu, ani muszki, choć je nazywają hiszpańskimi. Są to żuki czyli owady twardoskóre.

— Więc to one tak niemile pachną?

— Tak, piękne te, jak widziałas, żuki, przeniknięte są piekącą cieczą, która wydaje ten ostry zapach. Nie wiesz zapewne także, że są one bardzo użyteczne jako lekarstwo, ale słyszałaś zapewne nieraz o plastrach, które się nazywają wizykatorye?

— O tak, słyszałam. Jak Marcinowa była słaba w zimie, to wiem, że mama posyłała wtedy po wizykatorye. Ale nie wiedziałam, co to jest.

— Wizykatorye są to takie plastry naciągające, które właśnie robią się z tych tu oto żuków. Należy je strząsnąć z drzewa na rozpostartą płachtę, a potem zalać w domu gorącą wodą. Następnie wyjmują się je z wody, suszy na blasze i takie sprzedaje do apteki. Tam już wiedzą co z nimi robić. Oto trą je na proszek, potem ten miesza z woskiem i robią plastry, właśnie takie, jakiego użyła w zimie Marcinowa, gdy była chora.

— Jest całe mnóstwo owadów na świecie. Jedne są bardzo pożyteczne, inne znowu szkodliwe. Mają one duże znaczenie dla nas, a obyczajnie ich nieraz są bardzo ciekawe i warto je poznać.

— Pani mi jeszcze kiedy co o nich opowie, dobrze?

— Bardzo chętnie, ale wtedy tylko, gdy będziesz słuchała uważnie, tak jak dzisiaj.

— Ja zawsze słucham uważnie, jak mnie co zajmu-

je. Lubię bardzo słuchać o zwierzętach, o kwiatkach. Ale ta arytmetyka... Brrr!

— A jednak jak ona bardzo jest potrzebna. Cóż, czy zadanie arytmetyczne zrobione na jutro?

— Oj, jeszcze nie. Ale się zrobi.

— Samo? — spytała żartobliwie panna Marya.

— Nie, już biegnę do domu. Skończę je i przed kolacją jeszcze przylecę do pani.

I Józia pobiegła odrobić zadanie.

Zofia Kwiatkowska.

## Dzienniczek Wandzi.

(Dalszy ciąg).

Cioci się bardzo w Cherbourgu podobało, zwłaszcza morze, port i ta grobla co ją jeszcze Richelieu budował, a która wchodzi w morze, tworząc kilka-kilometrowy obwód portu, z trzema bramami. Wielkie okręty stoją przed groblą, Cherbourg jest jeden z największych wojennych portów francuskich. Ojciec bardzo lubi Francję, a ciocia Tolcia nie, więc często bardzo były ożywione dysputy między nimi.

Ja słuchając takich dysput, dużo bardzo korzystam, a będąc ciągle ze starszymi, uczę się myśleć i zastanawiać.

Pomimo tych sprzeczek, ciocia Tolcia ogromnie tatusia kocha i ceni, zawsze mówiła do mamusi: „Kur cię opiać, żeś dostała takiego męża.” Ciocia była bardzo dla mnie dobra, kupowała mi dużo dobrych rzeczy, aż się mama na nią gniewała. Co niedziela, gdy ojczulek był wolny, robiliśmy śliczne wycieczki po nabożeństwie; i tak jednej niedzieli poszliśmy do Land de mer i tam nad morzem spędziliśmy dzień cały. Mama zabrała mnóstwo ciastek i innych rzeczy do jedzenia, tam w restauracji kazaliśmy sobie podać *cidru* (jabłeczniku), którego ojczyzną jest właśnie Normandia, i czarnej kawy.

Wtedy to pokazało się, że Ciocia zabrała pasztet, który nam bardzo smakował.

Okna były otwarte na morze, które dzielił od nas tylko mały ogródek, pełen kwiatów i ptaków. Daleko na horyzoncie ukazała się łódka, z początku jako plamka szara, pokazała ją nam ciocia, ale nikt z nas nie mógł jej dojrzeć, więc dopiero ojciec wziął swoją wojskową lornetkę i zobaczył. Okazało się, że ciocia miała najlepszy wzrok z nas wszystkich. Łódź przybliżyła się, byli to rybacy, żagle mieli rozwinięte, bo morze było bardzo spokojne, a słońce miało się ku zachodowi. Siedzący w łodzi śpiewali monotonnym, jakby sennym głosem, pieśń pobożną, bo Normandczycy są bardzo religijni.

Był to tak piękny widok, to morze, to słońce zachodzące, te chatki obrosnięte bluszczem i różami, że ciocia zaczęła nucić w oknie: „Czego chcesz od nas Panie, za twe hojne dary.” Gdy powracaliśmy, deszcz zaczął padać, ale to nam humoru nie zepsuło, bo byliśmy z tej przechadzki bardzo zadowoleni.



15 marca 1900 r.

Smutno nam bardzo było na samo wspomnienie odjazdu cioci, która przeczuwając to, ubłagała mamusię, abyśmy ją odprowadziły do cioci Kostuni, a że to były właśnie Zielone Świątki, więc pojechałyśmy. Ciocia Kostunia nic o tem nie wiedziała i przysłała tylko na dworzec Saint Lazare po ciocię Tolcię, co to więc za radość była, gdyśmy się pokazały! Śmiechom, ściskaniom, żartom nie było końca, a że rozmawiałyśmy po polsku, więc wszyscy na nas zwracali uwagę i patrzyli jak na rarogów, aż miałam ochotę być niegrzeczną i pokazać im język. To dziwne, że Francuzi, a zwłaszcza Paryżanie, którzy tyle spotykają u siebie cudzoziemców, jeszcze nie przestali się im dziwić. Ciocia Kostunia ma służącą Polkę już od dziecięciu lat. Pochodzi ona z Królestwa, z Konińskiego, nie umie czytać, ani pisać, ale poznaje czyje pismo na kopercie i woła z daleka, gdy listy odbierze od listonosza. — „Wuj Antoś pisze!”

Po francusku nauczyła się, ale bardzo źle, z trudnością można ją zrozumieć i ma fatalny akcent, ale za to po polsku wyraża się jak osoba z naszego towarzystwa, tylko czasem używa słów, których znaczenia nie rozumie.

Upiekła na nasze przybycie polskich pączków i dla mnie specjalnie kruchych serduszek, bo wie, że to bardzo lubię. Antolek miał także wakacje, więc bawiliśmy się doskonale w krokieta i w inne gry na otwartym powietrzu.

(d. c. n.)

## SZARADA.

ułożyła Niezapominajka z nad Wkry.

W liczb szeregu *pierwszą* znamy —  
Gdy zaś *drugą* doń dodamy,  
To otrzymamy konieczne  
Sprzęty domu. Niebezpieczne  
Znów bywają *drugie-trzecie*  
Co, jak o tem dobrze wiecie,  
Ludzie kopią w ziemi sami,  
Lub wyrwane są wodami.  
*Wszystko* skrzętny rolnik wznosi,  
I dobrego Boga prosi  
By, skoro był pilny, dbały —  
One pustkami nie stały.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułoż. Konwalia, Nieśmiertelnik i Milla

Z następujących sylab: A — dryu — da — ó — czew — fe — iz — zan — le — ksan — o — sten — zło — mid — ułożyć 5 wyrazów, których początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół, utworzą dwa imiona żeńskie. Znaczenie wyrazów: 1) Miasteczko w gub. kałuskiej. 2) Miasto w Belgii. 3) Oaza w pustyni Sahara. 4) Miasto w Turcyi azjatyckiej. Miasto w Afryce n. m. Śródziemnem.

## ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA.

od Podolanki i Wiśniowczyka.

Halenka niosła w koszyku jabłka. Stefcio zawołał: „Pewno masz w tym koszyku ze sto jabłek!”

— Nie zgadłeś — odpowiedziała dziewczynka — bo gdyby liczbę moich jabłek podwoić i dodać do tego  $\frac{1}{4}$  liczby 129, toby jeszcze do 100 brakowało dwóch jabłek. Ile więc ich mam?

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

Zagadki: O — W — O — C. Owoce.

## Krzyża magicznego:

	W	r							
		i	o						
		e	d						
W	i	e	c	z	o	r	y		
r	o	d	z	i	n	n	e		
		o	n						
		r	n						
		y	e						

## Skrzynka do listów.



**Te-Be.** Wiersz „Droga do Nieba” będzie drukowany wkrótce, trzeba być cierpliwym, bo poezyi mamy dużo; prosimy bardzo o przysłanie kopii wiersza „do kwiatka”.

**Pani H. Morg.** Komedijkę w jesieni zużytkujemy.

**Panu A. L. S** Dziękujemy za pamięć, prosimy bardzo o nadesłanie pierwszych 10 kartek „Szkłanej góry,” a jeszcze lepiej całości, bowiem te pierwsze kartki wiatr uniósł przez okno.

**List Wodnej Lilijki** nie zastał już Jaskółki, ale przeczyta go po powrocie. Radzimy koniecznie wziąć udział w obu naszych konkursach; ani wypracowanie, ani robótka ręczna nie przeszkodzią, przecie w czasie wakacji używać ruchu na świeżem powietrzu i wypoczywać należyście. Co do wyboru tematu niech Lilijka sama coś postanowi, wiesz najlepiej, co ci najłatwiej przyjdzie a trzeba się uczyć decydować samoistnie, zwłaszcza w drobnych rzeczach. Książkę wysłaliśmy.

**Stokrotce.** Książkę wysłaliśmy.

**P. Maryi Jelskiej.** Żądane numera i książkę wysłaliśmy, pozostał u nas 1 rubel do jej rozporządzenia.

**Rusałki** metagram w liście do Jaskółki otrzymaliśmy, ale Jaskółka już wyfrunęła z miasta. Winszujemy lekcyi konnej jazdy, najmilsza to rozrywka, radzimy tylko Rusałce umiarkowanie i ostrożność.

Dobre rozwiązania oraz zadania własnego układu nadesłali: **Mieczysław R., Sarenka Modrooka, Elwuka z Włocławka, Córa Mazurów, Jamba, Riki-Tiki i Elzunia D.**

Śliczne kartki poczt. **Miechowity i Inżyniera** prześlemy Jaskółce wraz z ich ciekawymi listami. Wiemy, jak Jaskółce będzie przyjemnie przekonać się o tem, że wśród rozrywek letnich, a nawet tak zajmującej wycieczki, pamiętaliście o niej. Jesteśmy pewni, że wspomnienie o tej podróży zostanie długo w waszej pamięci; musieliście prawdopodobnie nauką i postępowaniem zasłużyć sobie na tę wielką przyjemność od Rodziców. Może z czasem przyjdzie kolej i na Warszawę.